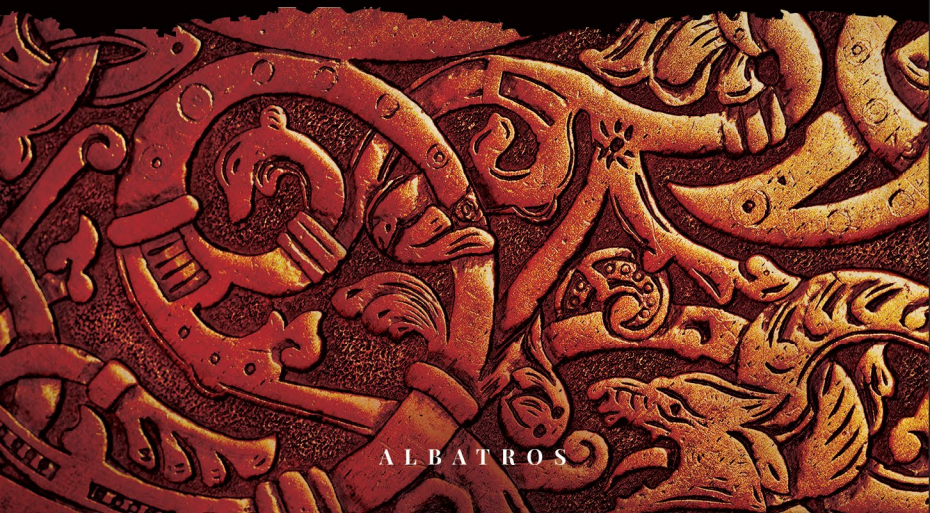




KEN FOLLETT

NIECH STANIE SIĘ ŚWIATŁOŚĆ



ALBATROS

PREMIERA: PAŹDZIERNIK 2020

Tytuł oryginału
THE EVENING AND THE MORNING

Text copyright © Ken Follett 2020

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Anna Dobrzańska 2020

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Fragment promocyjny nieprzeznaczony do sprzedaży

Rozdział 5

Koniec lipca 997

Jadąc przez lasy w letnie popołudnie i obserwując tańczące na ubitej ziemi słoneczne plamy, brat Aldred na cały głos wyśpiewywał hymny pochwalne. W przerwach rozmawiał ze swoim kucem Dyzmą, pytając go, jak podobała mu się ostatnia pieśń i co jeszcze chciałby usłyszeć.

Od Shiring dzieliło go kilka dni drogi i czuł, że wraca do domu w blasku chwały. Jego życiową misją było krzewienie wiedzy i zrozumienia tam, gdzie do tej pory królowała ślepa niewiedza. Osiem nowych ksiąg, które spoczywały w skrzynce przytroczonej do grzbietu Dyzmy, spisanych na pergaminie i pięknie zdobionych, miało stać się skromnym fundamentem wielkiego projektu. Aldred marzył o tym, by przekształcić opactwo w Shiring w wielkie centrum nauki ze skryptorium godnym konkurować z tym w Jumièges, dużą biblioteką i szkołą, w której synowie możnych będą uczyć się czytać, liczyć i lękać Boga.

Na razie opactwo było dalekie od ideału. Przełożeni Aldreda nie podzielali jego ambicji. Opat Osmund był życzliwy, lecz leniwy. Był dobry dla Aldreda i szybko go awansował, choć zrobił to głównie dlatego, że wiedział, iż jeśli powierzy młodemu mnichowi jakieś zadanie, ten na pewno je wykona, on zaś będzie miał spokojną głowę. Osmund godził się na wszystko, co nie wymagało od niego żadnej pracy. Bardziej uparty był skarbnik Hildred, który sprzeciwiał się wszystkiemu, co wiązało

się z wydatkami, jak gdyby misją klasztoru nie było krzewienie wiedzy i Bożego słowa, lecz oszczędzanie.

Być może obaj zostali zesłani przez Boga, by nauczyć Aldreda cierpliwości.

Jeśli chodzi o poglądy, Aldred nie był jednak sam. Wśród mnichów od dawna panowało przekonanie, że należy zreformować dawne instytucje trawione lenistwem i brakiem umiaru. W Winchesterze, Worcesterze i Canterbury powstawało wiele pięknych nowych manuskryptów. Tymczasem opactwo w Shiring najwyraźniej nie zamierzało się rozwijać.

Oddajmy cześć strażnikowi niebios, twórcy wszelkiej chwały... – zaśpiewał.

Nagle zatrzymał się, bo na ścieżce przed nim pojawił się człowiek.

Nie miał pojęcia, skąd się tam wziął. Miał brudne bose stopy, na głowie zardzewiały żelazny hełm, który zakrywał większość jego twarzy, i odziany był w łachmany. Zakrwawiona szmata na jego ramieniu zdradzała niedawną ranę. Stał na środku drogi, blokując przejście. Mógł być biednym bezdomnym żebrakiem, choć bardziej przypominał banitę.

Aldred poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. Nie powinien podróżować sam. Lecz rankiem w karczmie w Mudeford Crossing nie było nikogo, kto szedłby w te strony, uległ więc niecierpliwości i wyruszył sam, zamiast zaczekać dzień lub dwa na większą kompanię.

Teraz się zatrzymał. Wiedział, że w takich sytuacjach nie należy okazywać strachu, tak jak wtedy, kiedy człowiek natknie się na zdziczałego psa.

– Niech cię Bóg błogosławi, mój synu – rzekł, siląc się na spokój.

Mężczyzna odpowiedział schrypniętym głosem i Aldredowi przyszło do głowy, że być może próbuje ukryć jego prawdziwe brzmienie.

– Z jakiego zakonu jesteś? – spytał nieznajomy.

Włosy Aldreda z tonsurą wygoloną na czubku głowy zdra-

dzwały, że jest sługą Bożym, to jednak mogło oznaczać wszystko – od niskiego rangą akolity w górę.

– Jestem mnichem z opactwa w Shiring.

– Podróżujesz sam? Nie boisz się, że cię okradną?

Aldred bał się, że go zamordują.

– Nikt nie może mnie okraść – odparł z udawaną pewnością siebie. – Ponieważ nic nie mam.

– Prócz tej skrzynki.

– Nie jest moja. Należy do Boga. Oczywiście głupiec mógłby okraść Boga i skazać swoją duszę na wieczne potępienie.

Brat Aldred zobaczył drugiego mężczyznę na wpół ukrytego za krzakami. Nawet gdyby musiał się bronić, nie poradzi sobie z dwoma przeciwnikami.

– Co jest w tej skrzynce? – zapytał zbir.

– Osiem świętych ksiąg.

– A zatem są cenne.

Aldred wyobraził sobie, jak ten człowiek puka do drzwi klasztoru i proponuje, że sprzeda księgi. Wychłostano by go, a księgi skonfiskowano.

– Może dla kogoś, kto mógłby je sprzedać, nie wzbudzając podejrzeń – odparł. – Jesteś głodny, mój synu? Chcesz trochę chleba?

Mężczyzna zawahał się i odparł wyzywająco:

– Nie trza mi chleba, lecz pieniędzy.

Wahanie w jego głosie odpowiedziało Aldredowi, że nieznajomy jest głodny i może przystać na jedzenie.

– Nie mam pieniędzy, które mógłbym ci dać. – Poniekąd była to prawda: monety w jego sakiewce należały do opactwa Shiring.

Tamten najwyraźniej nie wiedział, co powiedzieć, zaskoczony niespodziewanym obrotem rozmowy.

– Łatwiej sprzedać kuca niż skrzynkę książek – rzekł w końcu.

– Tak – przyznał Aldred. – Ktoś jednak mógłby powiedzieć: „Brat Aldred miał kuca z białym krzyżem na czole, takiego samego jak ten. Skąd go masz, przyjacielu?”. Co odparłby na to złodziej?

– Bystry jesteś.

– A ty zuchwały. Ale nie głupi, prawda? Nie zamordujesz mnicha dla ośmiu ksiąg i kuca, których i tak nie będziesz mógł sprzedać.

Aldred uznał, że czas kończyć tę rozmowę, i z sercem w gardle popędził Dyzmę.

Banita jeszcze przez chwilę stał w miejscu, po czym chwiejnym krokiem zszedł z drogi. Aldred minął go, udając obojętność. Korciło go, by zmusić kuca do kłusa, lecz nie chciał okazywać strachu, dlatego pozwolił konikowi truchtać niespiesznie. Cały się trząsł.

– Chciałbym trochę chleba – usłyszał za sobą głos żebraka.

Takiej prośby nie mógł zignorować. Jego świętym obowiązkiem było dzielenie się stawą z głodnymi. Sam Jezus rzekł przecież: *Paś baranki moje**. Aldred nie mógł odmówić, nawet jeśli bał się o swoje życie. Ściągnął wodze i zatrzymał kuca.

W jukach miał bochen chleba i kawałek sera. Wyciągnął chleb i podał go banicie. Ten natychmiast odłamał kawałek i wepchnął go do ust przez otwór w rozpadającym się hełmie. Musiał być naprawdę głodny.

– Podziel się ze swoim przyjacielem – odezwał się Aldred.

Drugi mężczyzna wyszedł zza krzaków. Naciągnięty na głowę kaptur niemal całkowicie zakrywał mu twarz.

Żebrek w hełmie spojrzał na niego niechętnie, oderwał jednak kawałek chleba i wręczył mu go.

– Dziękuję – wybąkał tamten, zasłaniając usta ręką.

– Nie dziękuj mnie, lecz Bogu, który mnie przysłał.

– Amen.

Aldred podał mu ser.

– Tym też się podzielcie.

Podczas gdy mężczyźni dzielili się serem, Aldred odjechał.

Kiedy minutę później obejrzał się za siebie, już ich nie było. Wyglądało na to, że nic mu nie grozi. Wzniósł oczy do nieba

*Biblia Tysiąclecia, J 21,15.

i podziękował Bogu. Być może położy się spać głodny, lecz nie przejmował się tym. Był wdzięczny, że dziś Bóg kazał mu poświęcić strawę, nie życie.

Popołudnie przeszło w wieczór. W końcu po drugiej, północnej, stronie rzeki zobaczył osadę, a w niej sześć chat i kościół. Na zachód od domostw ciągnęło się wzdłuż brzegu pole uprawne. Zobaczył też zacumowaną łódź. Nie był nigdy w Dreng's Ferry – wyruszając z opactwa, wybrał inną drogę – domyślał się jednak, co to za miejsce. Zsiadł z kuca i zawołał.

Niebawem pojawiła się dziewczyna. Odcumowała łódź, wsiadła do niej i zaczęła wiosłować na drugi brzeg. Kiedy podpłynęła bliżej, zauważył, że jest pulchna, niezbyt ładna i wyraźnie naburmuszona.

– Jestem brat Aldred z opactwa w Shiring! – krzyknął.

– A ja Cwenburg – odparła. – Łódź należy do mojego ojca, Drenga. Podobnie jak karczma.

A zatem znalazł się we właściwym miejscu.

– Przeprawa kosztuje ćwierć pensa – dodała dziewczyna. – Ale nie mogę wziąć konia.

Aldred rozumiał dlaczego. Prymitywna łódź z łatwością mogła się przewrócić.

– Nie przejmuj się – odrzekł. – Dyзма potrafi pływać.

Zapłacił ćwierć pensa, rozkulbaczył kuca i ułożył skrzynkę z księgami i siodło na dnie łodzi. Trzymając wodze, siadł obok Cwenburg i delikatnym szarpnięciem zachęcił Dyzmę, by wszedł do rzeki. Kuc wahał się przez chwilę, jakby nie podobał mu się ten pomysł.

– No już – ponaglił go mnich. W tej samej chwili Cwenburg wiosłem odepchnęła łódź od brzegu i Dyзма wszedł do wody. Gdy zrobiło się głębiej, zaczął płynąć. Aldred trzymał wodze. Nie sądził, żeby zwierzę próbowało uciec, wołał jednak nie ryzykować.

– Jak daleko stąd do Shiring? – spytał, kiedy przeprawiali się przez rzekę.

– Dwa dni drogi – odparła dziewczyna.

Aldred spojrział w niebo. Słońce stało już nisko. Wieczory o tej porze roku były długie, obawiał się jednak, że przed nastaniem nocy może nie znaleźć drugiego miejsca na nocleg. Lepiej więc będzie, jeśli przenocuje tutaj.

Gdy dopłynęli na drugi brzeg, poczuł charakterystyczną woń piwa.

Dyzma znalazł oparcie dla nóg i gdy mnich puścił lejce, kuc wyszedł na brzeg, otrząsnął się z wody i zaczął skubać letnią trawę.

Z karczmy wyszła kolejna dziewczyna. Wyglądała na czternaście lat, miała czarne włosy i niebieskie oczy i mimo młodego wieku była w ciąży. Aldred zdumiał się, widząc, że nie nosi żadnego nakrycia głowy. Zwykle tylko ładacznice ośmielały się pokazywać włosy.

– To Błod – rzekła Cwenburg. – Nasza niewolnica. – Błod milczała. – Zna walijską mowę – dodała przewoźniczka.

Aldred wyjął z łodzi skrzynkę i położył ją na brzegu. Po chwili to samo zrobił z siodłem.

Gdy Błod podnosiła skrzynkę, przyglądał się jej z niepokojem, lecz zaniósła ją do karczmy.

– Możecie ją wychędożyć za ćwierć pensa – usłyszał męski głos i odwrócił się.

Mężczyzna wyszedł z niewielkiego budynku, który był pewnie warzelnią i z którego dobywała się ta silna woń. Wyglądał na trzydzieści lat, a zatem mógł być ojcem Cwenburg. Był wysoki, barczysty i nieco podobny do Wynstana, biskupa Shiring, a jeśli Aldred dobrze pamiętał, właściciel karczmy, Dreng, był kuzynem biskupa. Mężczyzna utykał.

Przyjrzał się mnichowi oczami blisko osadzonymi po obu stronach długiego nosa i uśmiechnął się nieszczercze.

– Ćwierć pensa to niewiele – dodał. – Kiedy była świeża, kosztowała pensa.

– Nie – odparł Aldred.

– Nikt jej nie chce. To dlatego, że jest ciężarna, głupia krowa. Aldred nie mógł tego dłużej słuchać.

– Jest ciężarna, boście nią kupczyli wbrew temu, co nakazuje Bóg.

– Ona to lubi, w tym cały problem. Baby zachodzą w ciążę tylko wtedy, kiedy im się to podoba.

– Tak?

– Wszyscy to wiedzą.

– Ja nie wiem.

– Wy nie macie pojęcia o takich rzeczach. Jesteście mnichem. Aldred spróbował przełknąć zniewagę, jak przykładowy chrześcijanin.

– To prawda – przyznał i skłonił głowę.

Okazywanie pokory w obliczu obelg czasem sprawia, że lżący zawstydza się i milknie, lecz Dreng najwyraźniej nie wiedział, co to wstyd.

– Miałem kiedyś chłopaka, może on by was zainteresował – mruknął. – Ale zmarło mu się.

Aldred odwrócił wzrok. Był wrażliwy na podobne oskarżenia, w młodości cierpiał bowiem z powodu takiej właśnie pokusy. Jako nowicjusz w opactwie Glastonbury zapalał namiętym uczuciem do młodego mnicha o imieniu Leofric. Aldredowi здаwało się, że to, co robią, to tylko młodzieńcze wygłupy, zostali jednak przyłapani na gorącym uczynku i wybuchła karczemna awantura. Przeniesiono go, by rozdzielić kochanków, i tak oto skończył w Shiring.

Sytuacja się nie powtórzyła. Co prawda Aldred nadal miewał niepokojące myśli, lecz potrafił nad nimi zapanować.

Z karczmy wyszła Blod i Dreng, gestykulując, pokazał jej, żeby wzięła siodło mnicha.

– Nie mogę dźwigać ciężarów – wyjaśnił. – Wiking zrzucił mnie z konia w bitwie pod Watchet.

Aldred zajął do Dyzy, który skubał trawę na pastwisku, po czym wszedł do karczmy. Wyglądała jak zwykła chata, choć różniła się wielkością. Było tu dużo mebli: stołów i zydli, skrzyń i ozdób ściennych. Dostrzegł też inne oznaki dostatku: dużego łososa zwisającego z powały i wędzącego się nad dymem z pa-

leniska; stojącą na ławie zaszpuntowaną beczkę; kury grzebiące w wysypanym sitowiem klepisku; pyrkający nad ogniem kociołek, znad którego unosił się nęcący zapach jagnięciny.

Dreng wskazał mieszącą w kociołku chudą młodą kobietę. Aldred zauważył zdobny, okrągły srebrny wisior, który nosiła zawieszony na szyi.

– To moja żona, Ethel – rzekł.

Kobieta bez słowa zerknęła na mnicha i Aldred pomyślał, że ten człowiek otacza się młodymi kobietami i wszystkie wydają się nieszczęśliwe.

– Wielu podróżnych przejeżdża tędy? – zapytał. Karczmarzowi powodziło się zadziwiająco dobrze jak na tak małą wioskę i Aldredowi przyszło do głowy, że być może wzbogacił się na rabunkach.

– Dość – uciął Dreng.

– Niedaleko stąd napotkałem dwóch ludzi, którzy wyglądali jak banici. – Przyglądał się twarzy Drenga. – Jeden z nich miał na głowie stary żelazny hełm – dodał.

– Mówimy na niego Żelaznogęby – odparł karczmarz. – To kłamca i morderca. Okrada podróżnych na południowym brzegu rzeki, gdzie droga prowadzi głównie przez las.

– Czemu nikt go nie aresztuje?

– Wiercie mi, że próbowaliśmy. Offa, starszy wioski Mudeford, oferował dwa srebrne funty temu, kto schwyta Żelaznogębego. Ma gdzieś w lesie kryjówkę, ale nie możemy jej znaleźć. Sprowadziliśmy tu ludzi szeryfa, lecz i to nic nie dało.

Choć to, co mówił, brzmiało wiarygodnie, Aldred pozostał podejrzliwy. Dreng, który utykał na nogę, nie mógł być Żelaznogębym – chyba że udawał – mógł jednak czerpać profity z rabunków. Może wiedział, gdzie kryje się oprych, i dostawał pieniądze za milczenie.

– Ma dziwny głos – drążył Aldred.

– To pewnie Irlandczyk albo wiking. Nikt tego nie wie. – Karczmarz zmienił temat: – Lepiej wypijcie dzban piwa, żeby odpocząć po podróży. Moja żona warzy wyborne piwo.

– Może później. – Aldred nie wydawał pieniędzy opactwa w karczmach, jeśli nie musiał. Zwrócił się do Ethel: – Na czym polega sekret warzenia dobrego piwa?

– Nie ta – burknął Dreng. – Piwo warzy moja druga żona, Leaf. Jest teraz w warzelni.

Kościół walczył z tym. Większość mężczyzn, których było na to stać, miała więcej niż jedną żonę albo żonę i konkubiny, a do tego niewolne. Małżeństwo nie podlegało jurysdykcji Kościoła. Jeśli dwoje ludzi przysięgało sobie w obecności świadków, stawali się małżeństwem. Kapłan mógł oferować błogosławieństwo, lecz nie było to konieczne. Niczego nie spisywano, chyba że małżonkowie pochodzili z zamożnych rodzin. Wówczas można było sporządzić umowę dotyczącą wymiany własności.

Aldred był temu przeciwny nie tylko ze względów moralnych. Kiedy umierał ktoś taki jak Dreng, często dochodziło do kłótni o spadek i o to, które z jego dzieci winno być uznane za prawowite. Nieformalność ślubów sprzyjała awanturom, które mogły doprowadzić do rozpadu rodziny.

Rodzina Drenga nie była wyjątkiem. Choć coś takiego było dość osobliwe w małej wiosce nieopodal klasztoru.

– Księża strapiliby się, gdyby wiedzieli, jak tu żyjecie – rzekł z powagą Aldred.

– Czyżby? – Dreng się zaśmiał.

– Jestem tego pewien.

– Cóż, mylicie się. Wiedzą o tym. Dziekan Degbert jest moim bratem.

– To nie powinno mieć znaczenia!

– To wy tak myślicie.

Aldred był zbyt rozeźlony, żeby kontynuować tę rozmowę – ten człowiek napawał go odrazą. W obawie że straci panowanie nad sobą, wyszedł na zewnątrz i ruszył brzegiem rzeki, z nadzieją że w czasie przechadzki nieco ochłonie.

Na końcu pola uprawnego zobaczył chatę i stodołę. Oba budynki były stare i wielokrotnie naprawiane. Przed domem siedziało trzech młodych mężczyzn i starsza kobieta – nie-

chybnie rodzina bez ojca. Ociągał się z podejściem, w obawie że wszyscy mieszkańcy Dreng's Ferry są tacy jak karczmarz. Zamierzał zawrócić, kiedy jeden z młodzików pomachał do niego radośnie.

Skoro tak witali nieznajomych, może nie byli jednak tacy źli.

Aldred zaczął wspinać się zboczem w stronę chaty. Ci ludzie najwyraźniej nie mieli mebli, bo spożywali wieczorny posiłek, siedząc na ziemi. Chłopcy nie byli wysocy, lecz mieli szerokie bary i potężne klatki piersiowe. Ich matka wyglądała na zmęczoną kobietę, lecz sprawiała wrażenie stanowczej. Twarze mieli wymizerowane, jakby niewiele jedli. Towarzyszył im brązowo-biały pies, równie chudy jak oni.

Pierwsza odezwała się kobieta.

– Jeśli chcecie, usiądźcie z nami i rozprostujcie nogi. Jestem Mildred – przedstawiła się, po czym wskazała na synów, od najstarszego do najmłodszego. – A to Erman, Eadbald i Edgar. Nasza wieczerza jest skromna, lecz chętnie się nią podzielimy.

Posiłek istotnie był skromny. Mieli bochenek chleba i duży kociołek gotowanych leśnych warzyw, prawdopodobnie sałaty, cebuli, pietruszki i dzikiego czosnku. Aldred nie dostrzegł żadnych kawałków mięsa. Nic dziwnego, że nie obrastali tłuszczem. Był głodny, nie mógł jednak odbierać stawy tym biedakom, odmówił więc grzecznie.

– Pachnie kusząco – rzekł – ale nie jestem głodny. Poza tym mnisi muszą wystrzegać się grzechu obżarstwa. Posiedzę jednak z wami. Dziękuję za ciepłe powitanie. – Usiadł na ziemi, co mnisi robili rzadko mimo składanych ślubów. Jest bieda, pomyślał, i jest prawdziwe ubóstwo. – Trawa prawie nadaje się do żęcia – zagadnął. – Siana w tym roku będzie pod dostatkiem.

– Nie byłam pewna, czy coś z tego będzie, bo ziemia nad rzeką jest dość bagnista – odparła Mildred. – Na szczęście słońce ją osuszyło. Mam nadzieję, że co roku będzie tak samo.

– A zatem jesteście tu nowi?

– Tak. Przybyliśmy z Combe.

Domyślał się, dlaczego opuścili swoje miasteczko.

– Ucierpiełicie w wikińskim najeździe. Widziałem, co się stało, kiedy jechałem tamtędy przedwczoraj.

– Straciliśmy wszystko – odezwał się najmłodszy z braci, Edgar. Wyglądał na osiemnaście wiosen, a zarost na jego twarzy przywodził na myśl miękkiego, jasnego puszek. – Ojciec był skutnikiem. Zabili go. Nasze zapasy drewna spłonęły, a narzędzia zostały zniszczone. Musieliśmy zacząć od nowa.

Aldred przyjrzał mu się z zainteresowaniem. Chłopak nie był może przystojny, lecz miał w sobie coś pociągającego. Choć rozmawiali swobodnie, to, co mówił, było jasne i logiczne. Aldred poczuł, że coś przyciąga go do Edgara. Weź się w garść, pomyślał. Trudniej mu było zapanować nad pożądaniem niż nad obżarstwem.

– Jak radzicie sobie w nowym życiu? – zwrócił się do chłopaka.

– Sprzedamy siano, pod warunkiem że przez kilka kolejnych dni nie będzie padać, i w końcu będziemy mieć jakieś pieniądze. Nieco wyżej na polu dojrzewa owies. Mamy też prosię i jagnię. Powinniśmy jakoś przetrwać zimę.

Wszyscy wieśniacy żyli w niepewności, nie wiedząc, czy tegoroczne zbiory wystarczą, żeby przetrwać do następnych. Rodzina Mildred była w lepszej sytuacji niż wiele innych.

– Może mieliście szczęście, osiedlając się tutaj.

– Zobaczymy – rzuciła zwięźle Mildred.

– Jak to się stało, że przybyliście do Dreng's Ferry? – dopytywał się Aldred.

– To biskup Shiring zaproponował nam, byśmy tu zamieszkali.

– Wynstan? – Znał biskupa i nie miał o nim najlepszego zdania.

– Dzierżawimy ziemię od Degberta Baldheada, dziekana i zwierzchnika zakonu. To kuzyn biskupa.

– Ciekawe. – Aldred zaczynał rozumieć, co tak naprawdę dzieje się w Dreng's Ferry. Degbert i Dreng byli braćmi, a Wynstan ich kuzynem. Razem tworzyli ponure trio. – Czy biskup bywa tu kiedykolwiek?

– Odwiedził wioskę po wigilii świętego Jana.
– Dwa tygodnie po letnim przesileniu – wtrącił Edgar.
– Każdemu domostwu podarował jagnię – dodała jego matka. – Właśnie tak dostaliśmy nasze.
– Szczodroblivy biskup – rozmyślał na głos Aldred.
Mildred zaniepokoił jego ton.
– Wydajecie się sceptyczni – powiedziała. – Nie wierzycie w jego dobroć?

– Nie słyszałem jeszcze, by zrobił coś dobrego bez jakiegoś ukrytego motywu. Nie przepadam za Wynstanem.

– To widać. – Kobieta się uśmiechnęła.

Tym razem głos zabrał Eadbald, średni syn o twarzy upstrzonej piegami. Głos miał głęboki i donośny.

– Edgar zabił wikinga.

– Tak przynajmniej twierdzi – dodał najstarszy, Erman.

– Zabiłeś wikinga? – zwrócił się Aldred do Edgara.

– Zaszedłem go od tyłu – wyjaśnił chłopak. – Kiedy walczył z... kobietą. Gdy mnie zobaczył, było już za późno.

– A kobieta? – Aldred zauważył wahanie na jego twarzy i domyślił się, że chodziło o kogoś wyjątkowego.

– Chwilę przed tym, jak go zabiłem, pchnął ją na ziemię. Uderzyła głową w kamienny stopień. Nie zdołałem jej uratować. Umarła. – W ładnych, orzechowych oczach Edgara zalśniły łzy.

– Jak miała na imię?

– Sungifu – wyszeptał.

– Pomodłę się za jej duszę.

– Dziękuję.

Było oczywiste, że Edgar ją kochał. Aldred mu współczuł, ale poczuł też ulgę: chłopak, który tak bardzo miłował kobietę, nie dopuściłby się grzechu z mężczyzną. On mógł czuć pokusę, ale nie ten młodzieniec. Nie musiał się zatem martwić.

– Dziekan nienawidzi Edgara – odezwał się piegowaty Eadbald.

– Dlaczego? – zaciekawił się Aldred.

– Pokłóciłem się z nim – odparł Edgar.

– I jak rozumiem, racja stała po twojej stronie, co go rozjuszyło.

– Powiedział, że mamy rok dziewięćset dziewięćdziesiąty siódmy, a to oznacza, że Jezus ma dziewięćset dziewięćdziesiąt siedem lat. Zauważyłem, że Jezus przyszedł na świat w pierwszym roku, a zatem jego pierwsze urodziny przypadły w drugim roku, czyli w Boże Narodzenie będzie miał dziewięćset dziewięćdziesiąt sześć lat. To proste. Ale Degbert powiedział, że jestem aroganckim szczeniakiem.

Aldred się roześmiał.

– Mylił się – przyznał. – Ale ten błąd popełnili też inni.

– Nie można klócić się z księżmi, nawet jeśli nie mają racji – odezwała się z dezaprobatą Mildred.

– Zwłaszcza kiedy nie mają racji. – Aldred wstał. – Ściemnia się. Lepiej zawczasu wróć do kościoła. Inaczej po drodze mógłbym wpaść do wody. Miło było was poznać.

Ruszył z powrotem brzegiem rzeki. Poczul radość, że w tak odstręczającym miejscu spotkał tak miłych ludzi.

Zamierzał spędzić noc w kościele. Wrócił do karczmy i zabrał skrzynkę oraz siodło. Nie został, by pogawędzić z Drenkiem; pożegnał się z nim i powiódł Dyzmę w górę zbocza.

Pierwszym budynkiem, jaki zobaczył, był mały domek na dużej parceli. Jego drzwi stały otworem, jak większość drzwi o tej porze roku, więc Aldred zajrzał do środka. Gruba kobieta, na oko czterdziestoletnia, siedziała przy wejściu. Na kolanach miała kwadratowy skrawek skóry i szyła but w świetle słońca wpadającym do izby przez okno. Zobaczywszy przybysza, podniosła wzrok i spytała:

– Kim jesteście?

– Zwą mnie Aldred. Jestem mnichem z opactwa w Shiring, szukam dziekana Degberta.

– Degbert Baldhead mieszka po drugiej stronie kościoła.

– Jak ci na imię?

– Bebbe.

Podobnie jak w karczmie, tu również widać było oznaki do-

brobytu. Bebbe miała szafkę na ser – skrzynkę z muslinowymi bokami, żeby przepuszczać powietrze i chronić ser przed myszami. Na stole obok stał drewniany kubek i mały ceramiczny dzbanek, który wyglądał, jakby było w nim wino. Z haczyka w ścianie zwisał ciężki wełniany koc.

- Dobrze się wam wiedzie w tej osadzie – zauważył Aldred.
- Niezbyt – rzuciła kobieta, a po chwili namysłu dodała: – Chociaż kościół wspomaga nas nieco swym bogactwem.
- A skąd pochodzi owo bogactwo?
- Ciekawscy jesteście. Kto was przysłał na przeszpiegi?
- Na przeszpiegi? – powtórzył zaskoczony. – Komu chciałoby się szpiegować małą osadę na odludziu?
- W takim razie nie powinniście być tacy wścibscy.
- Będę o tym pamiętał – odparł Aldred i wyszedł.

Wspiął się na wzgórze do kościoła i zobaczył stojący po jego wschodniej stronie duży budynek, w którym musieli mieszkać księża. Na tyłach domu pobudowano coś w rodzaju warsztatu. Drzwi przybudówki były otwarte, a w środku palił się ogień. Przypominała kuźnię, lecz na to była za mała: kowal potrzebował więcej miejsca.

Zaciekawiony, podszedł do drzwi i zajrzał do środka. Zobaczył palenisko opalane węglem drzewnym i dwa miechy do rozdmuchiwania ognia. Leżąca na grubym pniu żelazna bryła tworzyła wysokie do pasa kowadło. Pochylony nad nią ksiądz pracował młotkiem i wąskim dłutem, rzeźbiąc coś w srebrnym krążku. Stojąca na kowadle lampa oświeślała mu pracę. Duchowny miał wiadro wody do hartowania metalu i ciężkie nożyce, prawdopodobnie do cięcia blachy. Za jego plecami były drugie drzwi wiodące zapewne do głównego budynku.

Aldred domyślał się, że mężczyzna jest złotnikiem. Miał półkę, na której starannie ułożono narzędzia: szydła, szczypce, noże i cążki z małymi ostrzami i długimi chwytami. Wyglądał na trzydzieści lat, był niski i pulchny, z podwójnym podbródkiem; na jego twarzy malowało się skupienie.

Nie chcąc go przestraszyć, Aldred zakasłał.

Nic to nie dało. Ksiądz podskoczył, upuścił narzędzia i jęknął:

– O mój Boże!

– Nie chciałem przeszkodzić – zapewnił go Aldred. – Bardzo przepraszam.

– Czego chcesz? – Ksiądz wyglądał na przestraszonego.

– Niczego – odparł Aldred. – Zobaczyłem światło i wystraszyłem się, że coś się pali – wymyślił na poczekaniu, nie chcąc, by posądzono go o wścibstwo. – Jestem brat Aldred z opactwa Shiring.

– A ja Cuthbert, ksiądz z tutejszego kościoła. Gościom nie wolno wchodzić do warsztatu.

Aldred uniósł brwi.

– Co tak ojca niepokoi?

Cuthbert się zawahał.

– Myślałem, że jesteś złodziejem.

– Pewnie macie tu cenne metale.

Ksiądz odruchowo obejrzał się przez ramię. Aldred podążył za jego spojrzeniem i zatrzymał wzrok na okutej żelazem skrzyni przy drzwiach prowadzących do domu. Domyślał się, że tam właśnie są przechowywane złoto, srebro i miedź.

Duchowni parali się rozmaitymi sztukami: muzyką, poezją, tworzeniem fresków. Nic więc dziwnego, że Cuthbert był złotnikiem. Pewnie wykonywał ozdoby dla kościoła, a dodatkowo zarabiał na sprzedaży biżuterii; fakt, że księża zarabiali pieniądze, nie był powodem do wstydu. Czemu więc ten zachowywał się jak winowajca?

– Musi ojciec mieć dobry wzrok, skoro wykonuje tak dokładną pracę. – Aldred spoglądał na to, co leżało na stole warsztatowym. Cuthbert grawerował na srebrnym krążku wizerunki dziwnych zwierząt. – Co to jest?

– Brosza.

– Co, u diabła, tu robisz i dlaczego wtykasz nos w nie swoje sprawy? – odezwał się nowy głos.

Aldred zobaczył mężczyznę, który nie był częściowo łysy,

jak to najczęściej bywało – na jego głowie nie było ani jednego włosa. To musiał być Degbert Baldhead*, dziekan.

– Wielkie nieba, aleście wszyscy drażliwi – powiedział ze spokojem Aldred. – Drzwi były otwarte, więc zajrzałem do środka. Co z wami, na Boga? Zachowujecie się tak, jakbyście mieli coś do ukrycia.

– Nie bądź śmieszny – prychnął Degbert. – Cuthbert potrzebuje ciszy i spokoju, żeby wykonywać tak delikatną robotę. Proszę, zostaw go w spokoju.

– Ojciec Cuthbert mówił coś innego. Powiedział, że boi się złodziei.

– Jedno i drugie jest prawdą. – Dziekan przecisnął się obok Aldreda i z trzaskiem zamknął drzwi do warsztatu. – Kim jesteś? – spytał, gdy zostali sami.

– Jestem bibliotekarzem z opactwa w Shiring. Mam na imię Aldred.

– Mnich – mruknął Degbert. – Pewnie oczekujesz, że damy ci kolację.

– I nocleg na dzisiajszą noc. Wracam z długiej podróży.

Diekan nie wyglądał na zadowolonego, nie mógł jednak odmówić gościny zakonnikowi; przynajmniej nie bez powodu.

– W takim razie spróbuj powstrzymać się od pytań – rzekł, po czym oddalił się i wszedł do domu głównym wejściem.

Aldred zastanawiał się przez chwilę, co jest powodem okazywanej mu wrogości, lecz nic nie przyszło mu do głowy.

W końcu powlókł się za Degbertem do chaty.

Nie tego się spodziewał.

Liczył, że zobaczy krzyż zawieszony w widocznym miejscu, tak by każdy wiedział, że jest to dom Boży. W minsterze powinien być też pulpit, a na nim Pismo Święte, którego fragmenty odczytywano księżom podczas ich skromnych posiłków. Wszelkie ozdoby ścienne powinny przedstawiać biblijne sceny, przypominające o prawach ustanowionych przez Boga.

*Baldhead (ang.) – dosłownie „łysa głowa”.

Tutaj nie było krzyża ani pulpitu, a gobelin na ścianie przedstawiał scenę łowiecką. Większość mężczyzn miała na głowach wygolone tonsury, ale w izbie były także kobiety i dzieci, które najwyraźniej czuły się tu jak w domu. Całość przywodziła na myśl dostatnie duże domostwo.

– To minster? – spytał z niedowierzaniem Aldred.

– Kimże ty jesteś, że przychodzisz tu z takim nastawieniem? – zganił go dziekan.

Aldreda nie zdziwiła jego reakcja. Nazbyt pobłażliwi księża często okazywali niechęć mnichom, podejrzewając ich o przesadną pobożność – czasem nie bez powodu. Ten minster zaczął wyglądać jak jedno z tych miejsc, w które wymierzony był ruch reformatorski. Aldred powstrzymał się jednak od ferowania wyroków; Degbert i jego księża mogli bez zarzutu wypełniać swe obowiązki, a przecież to było najważniejsze.

Postawił skrzynkę i siodło pod ścianą. Wyjął z juków ziarno i wyszedł na dwór, żeby nakarmić Dyzmę. Spętał tylne nogi kuca, by nie oddalił się nocą, i wrócił do środka.

Miał nadzieję, że kościół będzie oazą spokoju w tętniącym życiem świecie. Wyobrażał sobie, że spędzi wieczór, rozmawiając z mężczyznami o zainteresowaniach podobnych do jego własnych. Mogliby podyskutować o zagadnieniach związanych z Biblią, na przykład o autentyczności listu świętego Barnaby. O problemach nękanego kłopotami króla Anglii, Ethelreda Nierozważnego, a może nawet o międzynarodowej polityce i wojnie, która toczyła się między muzułmańską Iberią a chrześcijańską północną Hiszpanią. Miał nadzieję, że jego rozmówcy będą wypytывali go o Normandię, a w szczególności o opactwo w Jumièges.

Jednakże ci mężczyźni nie prowadzili takiego życia. Rozmawiali ze swoimi żonami, bawili się z dziećmi, pili piwo i cydr. Jeden przyczepiał żelazną sprzączkę do skórzanego pasa; inny obcinał włosy małemu chłopcu. Nikt nie czytał ani się nie modlił.

Rzecz jasna w życiu rodzinnym nie było nic złego. Mężczyzna powinien dbać o żonę i dzieci, lecz księża mieli też inne obowiązki.

Na dźwięk kościelnego dzwonu mężczyźni niespiesznie porzucili swe zajęcia i zaczęli przygotowywać się do wieczornej mszy. Kilka minut później wolnym krokiem opuścili izbę, a Aldred podążył za nimi. Kobiety i dzieci zostały, do kościoła nie przyszedł także nikt z wioski.

Świątynia znajdowała się w opłakanym stanie. Łuk nad wejściem był podparty pniem drzewa, a cała budowla przechylała się na jedną stronę. Dziekan powinien był przeznaczyć pieniądze na jej utrzymanie, ale jako żonaty mężczyzna nad wszystko przedkładał rodzinę. Oto dlaczego księża nie powinni się żenić.

Weszli do środka.

Aldred zauważył inskrypcję wyrytą na ścianie. Z czasem litery stały się niewyraźne, wciąż jednak można je było odczytać. Napis głosił, że kościół wybudował lord Begmund z Northwood, który został tu pogrzebany. W testamencie zostawił księżom pieniądze, by modlili się za jego duszę.

Jeśli to, co Aldred zobaczył w domu, zaniepokoiło go, to nabożeństwo go zszokowało. Hymny śpiewano fałszywymi, bezbarwnymi głosami, modlitwy bełkotano, a dwaj diakoni sprzecali się przez całą mszę o to, czy żbik może zabić psa myśliwskiego. Pod koniec Aldred gotował się ze złości.

Nic dziwnego, że karczmarz Dreng nie okazywał wstydu, opowiadając o swoich dwóch żonach i brzemiennej niewolnicy. W osadzie nie było człowieka, który świeciłby przykładem. Jak dziekan Degbert mógł zganić człowieka za przeciwstawianie się Bożym naukom dotyczącym małżeństwa, skoro sam był równie zepsuty?

Dreng budził w Aldredzie wstręt, Degbert zaś doprowadzał go do wściekłości. Ci dwaj nie służyli ani Bogu, ani swojej społeczności. Duchowni brali pieniądze od biednych wieśniaków, a sami żyli w dostatku, mogli więc chociaż sumiennie odprawiać msze i modlić się za dusze ludzi, którzy ich utrzymywali. Księża jednak zawłaszczali sobie pieniądze Kościoła, by opływać w dostatki. Byli gorsi niż złodzieje, a to, co robili, było bluźnierstwem.

Wiedział jednak, że niczego nie osiągnie, jeśli powie dziekanowi, co o tym wszystkim myśli, i pokłóci się z nim.

Cała ta sytuacja wzbudzała w nim ciekawość. Degbert nie przejmował się swymi występkami, albowiem jego protektorem był wpływowy biskup. Ale nie tylko dlatego. Zwykle wieśniacy narzekali na grzesznych księży; woleli, by przewodził im ktoś wiarygodny, kto sam przestrzegał zasad, które głosił. Tymczasem żadna z osób, z którymi dziś rozmawiał, nie powiedziała złego słowa o dziekanie i jego minsterze. Co więcej, ludzie niechętnie odpowiadali tu na pytania. Tylko Mildred i jej synowie byli gościnni i szczerzy. Aldred wiedział, że niełatwo przychodzi mu nawiązywanie kontaktu z prostymi ludźmi – żałował, że nie jest taki jak lady Ragna z Cherbourga, która potrafiła zjednać sobie każdego – nie zrobił jednak nic, co tłumaczyłoby dziwną małomówność mieszkańców Dreng's Ferry. Coś tu było na rzeczy.

Postanowił dowiedzieć się co.

Rozdział 6

Początek sierpnia 997

Wśród zardzewiałych starych narzędzi pozostawionych przez poprzedniego gospodarza była kosa – osadzone na długim trzonku ostrze, dzięki któremu można było żąć zboże, nie pochylając się. Edgar wyczyścił ostrze, naostrzył je i osadził na nowym drewnianym trzonku. Bracia kosili na zmianę. Nie padało, więc trawa wyschła i matka sprzedała siano Bebbe za tłustą świnię, beczkę węgorki, koguta i sześć kur.

Po skoszeniu owsa przyszedł czas na młócenie. Z dwóch patyków Edgar zrobił cep z długim dzierzakiem i krótkim bi-jakiem połączonymi skórzanym rzemieniem, który zapomniał oddać Bebbe. Wypróbował cep w wietrzny dzień pod czujnym okiem Brindle. Rozłożył kłosa owsa na równym spłachetku wyschniętej ziemi i począł je uderzać. Nie był rolnikiem, słuchał więc rad matki. Narzędzie spełniało swoje zadanie: małe i suche ziarna oddzielały się od łupin, które ulatywały z wiatrem.

Edgar odpoczął przez chwilę, ciesząc się promieniami słońca. Mięso węgorki w potrawce dodało mu sił. Matka uwędziła większość tych ryb, wieszając je na krokwiach nad paleniskiem. Kiedy je zjedzą, będą mogli zabić świnię i uwędzić boczek. Potem przyjdzie kolej na kury, zanim to jednak nastąpi, mogli jeść jaja. Jedzenia było zbyt mało, by wyżywić cztery dorosłe osoby, ale mając owies, może przetrwają zimę i nie umrą z głodu.

Dom nadawał się teraz do zamieszkania. Edgar załatał dziury

w ścianach i dachu, a klepisko wyłożono świeżym sitowiem. Mieli kamienne palenisko i stertę chrustu przyniesioną z lasu. Edgar nie chciał tak żyć, miał jednak przeczucie, że on i jego rodzina przetrwali najgorsze.

– Jakiś czas temu widziałam Cwenburg – powiedziała matka, podchodząc do niego. – Przyszła do ciebie?

– Na pewno nie. – Edgar się zawstydził.

– Wydajesz się bardzo pewny. Miałam wrażenie, że jest tobą... zainteresowana.

– Była, ale powiedziałem jej, że nie czuję względem niej tego samego. Niestety, chyba się obraziła.

– To dobrze. Bałam się, że po utracie Sungifu możesz zrobić coś głupiego.

– Nawet nie przyszło mi to do głowy. Cwenburg nie jest ani ładna, ani życzliwa, zresztą nawet gdyby była aniołem, nie pokochałbym jej.

Matka pokiwała głową ze współczuciem.

– Twój ojciec był taki sam, kochał tylko mnie. Jego matka powiedziała mi, że nie interesowały go żadne inne dziewczyny. Co dziwniejsze, nawet po ślubie się nie zmienił. Ale ty jesteś młody. Nie możesz do końca życia kochać martwej dziewczyny.

Edgar był innego zdania, lecz nie chciał sprzeczać się z matką.

– Może – bąknął tylko.

– Pewnego dnia pokochasz inną – obstawała przy swoim. – Pewnie zaskoczy cię to uczucie. Będziesz myślał, że nadal kochasz tamtą, i nagle uświadomisz sobie, że przez cały czas myślisz o kimś innym.

– A ty, wyjdiesz znów za mąż? – spytał.

– Ach – zachnęła się. – Mądrała z ciebie. Nie, nie powinnam.

– Dlaczego?

Matka milczała przez dłuższą chwilę i Edgar zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem jej nie uraził. Ona jednak się zastanawiała. W końcu odparła:

– Twój ojciec był dla mnie oparciem. Mówił, co myślał, dotrzymywał danego słowa. Przez ponad dwadzieścia lat kochał

mnie i was. Nie był przystojny i bywało, że wpadał w złość, ale ufałam mu bezgranicznie i nigdy mnie nie zawiodł. – Łzy napłynęły jej do oczu, kiedy dodała: – Nie chcę drugiego męża, a nawet gdybym chciała, wiem, że nie znajdę drugiego takiego jak on. – Mówiła ze spokojem, lecz na koniec dała się ponieść uczuciom. Zadarła głowę i spoglądając w letnie niebo, szepnęła: – Tak bardzo za tobą tęsknię, ukochany.

Edgarowi chciało się płakać. Stali w milczeniu przez dłuższą chwilę. W końcu matka przełknęła z trudem ślinę i otarła oczy.

– Dość tego – mruknęła.

Posłuchał jej i zmienił temat.

– Dobrze mi idzie? – spytał.

– Tak. I cep spisuje się jak należy. Ale widzę, że ziarna są dość małe. Zimą będziemy chodzić głodni.

– Zrobiliśmy coś nie tak?

– Nie. To вина ziemi.

– Ale przetrwamy?

– Tak, chociaż dobrze, że nie zadurzyłeś się w Cwenburg. Ta dziewczyna wygląda, jakby lubiła sobie podjeść. To gospodarstwo nie wyżywiłoby pięciu dorosłych osób, nie mówiąc o dzieciach, które pewnie by się pojawiły. Umarlibyśmy z głodu.

– Może za rok będzie lepiej.

– Nawieziemy ziemię, zanim znowu ją zaorzemy. To powinno pomóc, chociaż z marnej ziemi plony będą niewielkie.

Matka była bystra i energiczna jak zawsze, lecz Edgar martwił się o nią. Po śmierci ojca zmieniła się. Wydawała się bardziej krucha. Zawsze była silna, ale teraz zawsze spieszył jej z pomocą, kiedy próbowała dźwignąć ciężkie polano albo wracała znad rzeki z wiadrzem pełnym wody. Nie mówił jej o swoich obawach, wiedział bowiem, że nie spodoba jej się to, co usłyszy. Pod tym względem przypominała mężczyznę. Nie mógł jednak przestać myśleć o tym, że kiedyś przyjdzie im żyć bez niej.

Ujadanie Birndle wyrwało go z zamyślenia. Edgar zmarszczył brwi: psy wcześniej niż ludzie wyczuwają, że coś jest nie

tak. Chwilę później usłyszał krzyki – nie podniesione głosy, lecz wściekłe wrzaski. To jego bracia o coś się kłócili.

Pobiegł w stronę hałasu, który dobiegał od strony stodoły po drugiej stronie chaty. Brindle, szczekając, pobiegła za nim. Kątem oka zobaczył matkę, która w pośpiechu zbierała ziarna owsa, żeby uchronić je przed ptakami.

Erman i Eadbald tarzali się po ziemi przed stodołą, okładając się pięściami i wrzeszcząc z wściekłości. Z piegowatego nosa Eadbalda ciekła krew, a Erman miał otarte czoło.

– Przestańcie! – krzyknął Edgar, lecz go zignorowali. Co za głupcy, pomyślał. Potrzebujemy sił, żeby przetrwać na tej przekłętej farmie.

Od razu domyślił się powodu bójk. W drzwiach do stodoły stała Cwenburg i obserwując braci, śmiała się radośnie. Była naga. Na ten widok Edgar poczuł, jak wzbiera w nim wstręt.

Erman, który siedział okrakiem na Eadbaldzie, zamachnął się, gotów uderzyć go w twarz. Edgar wykorzystał okazję, chwycił go od tyłu i ciągnąc za ręce, zwłókł z brata. Zaskoczony Erman nie zdołał odeprzeć ataku i zwałił się na trawę.

Eadbald zerwał się na równe nogi i kopnął go. Edgar chwycił go za stopę i szarpnięciem przewrócił z powrotem na ziemię. Tymczasem Erman zdążył już wstać i odepchnął go, żeby dopaść Eadbalda. Uradowana Cwenburg klasnęła w dłonie.

– Głupie dzieciaki, natychmiast przestańcie! – zagrzmiała matka, wychodząc zza domu. Erman i Eadbald zamarli.

– Zepsuła pani zabawę! – oburzyła się Cwenburg.

– Ubierz się, ty bezwstydna dziewczyno – ofuknęła ją Mildred.

Przez chwilę Cwenburg wyglądała tak, jakby miała ochotę się jej sprzeciwić i posłać ją do diabła, lecz się nie odważyła. Odwróciła się, weszła do stodoły i pochyliła się, żeby podnieść sukienkę. Zrobiła to powoli, tak by wszyscy zobaczyli jej nagie pośladki. Zaraz potem znowu się odwróciła i włożyła sukienkę przez głowę, unosząc ramiona i eksponując piersi. Edgar, który nie mógł na nią nie spojrzeć, zauważył, że przytyła od dnia, kiedy widział ją nagą nad rzeką.

W końcu się ubrała, choć jeszcze przez chwilę poruszała biodrami, jakby czekała, aż sukienka się ułoży.

– Boże, zlituj się – mruknęła matka.

– Pewnie jeden z was chędożył ją, co nie spodobało się drugiemu – zwrócił się do braci Edgar.

– Erman ją przymusił – odparł z oburzeniem Eadbald.

– Wcale jej nie przymuszałem – zaperzył się Erman.

– Musiałeś, bo ona kocha mnie!

– Nie przymuszałem jej – powtórzył Erman. – Pragnęła mnie.

– Nieprawda!

– Cwenburg, czy Erman cię przymuszał? – spytał dziewczynę Edgar.

Spojrzała na niego wstydliwie.

– Znał się na rzeczy – odparła. Najwyraźniej podobało jej się całe to zamieszanie.

– Eadbald mówi, że go kochasz – wypytywał ją dalej Edgar. – To prawda?

– O tak. – Urwała. – Kocham Eadbalda. I Ermana.

Mildred parsknęła ze wstrętem.

– Chcesz powiedzieć, że pokładałaś się i z jednym, i z drugim?

– Tak. – Cwenburg wyglądała na zadowoloną z siebie.

– Wiele razy?

– Tak.

– Od jak dawna?

– Odkąd tu mieszkacie.

Matka pokręciła głową z odrazą.

– Dzięki Bogu, że nie urodziłam córek.

– To nie moja wina! – oburzyła się dziewczyna.

– Nie. – Mildred westchnęła. – Do tego trzeba dwojga.

– Jestem najstarszy – odezwał się Erman. – Ja pierwszy powinienem wziąć żonę.

– Kto ci nagadał takich głupot? – rzucił Eadbald, parsknąwszy pogardliwym śmiechem. – Ożenię się, kiedy będę chciał, a nie wtedy, kiedy mi pozwolisz.

– Ale mnie stać na żonę, a ciebie nie. Nie masz nic. Ja pewnego dnia odziedziczę farmę.

Eadbald gotował się ze złości.

– Matka ma trzech synów – przypomniał bratu. – Kiedy umrze, choć mam nadzieję, że przeżyje jeszcze wiele, wiele lat, podzielimy farmę między siebie.

– Nie bądź głupi, Eadbaldzie – wtrącił Edgar. – Już teraz ciężko nam się tu utrzymać. Jeśli każdy z nas będzie próbował wykarmić własną rodzinę na jednej trzeciej ziemi, wszyscy pomrzemy z głodu.

– Jak zwykle tylko Edgar mówi mądrze – powiedziała matka. Eadbald wyglądał na urażonego.

– Czy to znaczy, matko, że mnie wyrzucisz?

– Nigdy bym tego nie zrobiła. Wiesz o tym.

– Mamym zatem żyć w celibacie, jak mnisi w klasztorze?

– Mam nadzieję, że nie.

– Więc co zrobimy?

Odpowiedź matki zaskoczyła Edgara.

– Porozmawiamy z rodzicami Cwenburg. Chodźcie.

Edgar nie był pewny, czy to pomoże. Obawiał się, że Dreng, który nie należał do ludzi rozsądnych, będzie się przemądrzać. Leaf była mądrzejsza i miłsza. Ale matka trzymała coś w zana-dru, choć nie miał pojęcia co.

Gęsiego ruszyli brzegiem rzeki. Zżęta trawa zaczynała już odrastać. Osada tonęła w sierpniowym słońcu, a jedynym słyszalnym dźwiękiem był szum wody toczoney przez rzekę.

W karczmie zastali Ethel, młodszą żonę Drenga, i Błod, ich niewolną. Ethel uśmiechnęła się do Edgara; chyba go lubiła. Powiedziała, że mąż jest u brata w minsterze, i posłała po niego Cwenburg. Edgar znalazł Leaf w warzelni, gdzie trzonkiem grabi mieszała zacier. Ucieszyła się, że może oderwać się od pracy. Napełniła dzbanek piwem i postawiła go na ławie przed karczmą. Chwilę później wróciła Cwenburg z ojcem.

Wszyscy usiedli w słońcu i wystawili twarze ku wiejącej od rzeki bryzie. Gdy Błod rozlała piwo do drewnianych kubków,

Mildred w kilku słowach wyłuszczyła problem.

Edgar obserwował twarze zgromadzonych. Erman i Eadbald chyba pojęli, jakimi byli głupcami, sądząc, że jeden przechrzcił drugiego. W końcu bowiem obaj dali się oszukać. Cwenburg była dumna z władzy, jaką miała nad nimi, jej rodzice zaś nie wyglądali na zdumionych tym, co zrobiła. Może już wcześniej dopuszczała się podobnych rzeczy. Dreng zjeżał się na każde słowo krytyki wobec jego córki. Leaf wyglądała na zmęczoną. Mildred była pewna siebie i to ona prowadziła rozmowę. W końcu to matka zdecyduje, co zrobić, pomyślał Edgar.

Kiedy Mildred skończyła, głos zabrała Leaf.

– Cwenburg musi wkrótce wyjść za męża. Inaczej zajdzie w ciążę z którymś z przejeżdżających tędy wędrowców, który zniknie i zostawi nam bękarta na wychowanie.

Bękarta, który będzie twoim wnukiem, miał ochotę powiedzieć Edgar, lecz przeźornie ugryzł się w język.

– Nie mów tak o mojej córce – warknął karczmarz.

– To również moja córka.

– Jesteś dla niej zbyt surowa. Dziewczyna ma swoje wady, ale...

– Wszyscy chcemy, żeby wyszła za męża, ale jak będzie żyła? – przerwała mu Mildred. – Moje gospodarstwo nie wyżywi kolejnej gęby, nie mówiąc o dwóch.

– Nie wydam jej za kogoś, kto nie będzie w stanie jej utrzymać – oświadczył Dreng. – Jestem kuzynem ealdormana Shiring. Moja córka mogłaby poślubić szlachcica.

Leaf zaśmiała się szyderczo.

– Poza tym – ciągnął karczmarz – ona musi tu zostać. W gospodarstwie jest mnóstwo pracy. Potrzebuję kogoś młodego i silnego do wioseł. Błód spodziewa się dziecka, a sam nie dam rady, mam chore plecy. Wiking zrzucił mnie z konia...

– Tak, tak, w bitwie pod Watchet – dokończyła niecierpliwie Leaf. – Słyszałam, że byłeś pijany i spadłeś z dziwki, nie z konia.

– Jeśli o to chodzi, Dreng, kiedy Cwenburg odejdzie, możesz nająć Edgara – powiedziała Mildred.

Tego się nie spodziewałem, pomyślał Edgar.

– Jest młody i silny – ciągnęła jego matka – a co więcej, może zbudować nową łódź w miejsce tego starego pnia, który pewnego dnia i tak pójdzie na dno.

Nie był pewien, co o tym myśleć. Chciałby zbudować nową łódź, lecz nienawidził karczmarza.

– Nająć tego zarozumiałego szczeniaka? – rzucił pogardliwie Dreng. – Nikt nie chce psa, który szczeka na swojego pana, a ja nie chcę twojego syna.

Matka puściła jego słowa mimo uszu.

– Możesz mu płacić pół pensa za dzień. Nigdy nie dostaniesz tańszej łodzi.

Na twarzy karczmarza na chwilę pojawił się chytry wyraz, gdy uświadomił sobie, że Mildred ma rację. Mimo wszystko odparł:

– Nie, nie podoba mi się to.

– Musimy coś zrobić – orzekła Leaf.

– Ja jestem jej ojcem i to ja zdecyduję – upierał się jej mąż.

– Jest jeszcze jedna możliwość – powiedziała Mildred.

Zaczyna się, pomyślał Edgar. Ciekawe, co obmyśliła.

– No dalej, wyduś to z siebie – ponaglał ją Dreng. Próbował udawać, że to on dyktuje warunki, lecz nikt inny w to nie wierzył.

Mildred milczała przez chwilę.

– Cwenburg musi poślubić Ermana i Eadbalda – odezwiała się w końcu.

Tego Edgar również się nie spodziewał.

Dreng był wściekły.

– Ma mieć dwóch mężów?

– Cóż, wielu mężczyzn ma dwie żony – zauważyła Leaf.

Karczmarz wyglądał na oburzonego, lecz nie potrafił znaleźć argumentów na obalenie słów żony.

– Słyszałam o takich małżeństwach – ciągnęła Mildred ze spokojem. – Tak się dzieje, kiedy dwóch albo trzech braci dziedziczy farmę zbyt małą dla więcej niż jednej rodziny.

– Ale jak to działa? – spytał Eadbald. – To znaczy... nocą...

– Bracia śpią z żoną na zmianę – wyjaśniła matka.

Edgar nie chciał w tym uczestniczyć, milczał jednak, by nie podważać słów matki. Później powie jej, co o tym myśli. Zresztą, na ile ją znał, domyślała się, co on czuje.

– Znałam raz taką rodzinę – powiedziała Leaf. – Kiedy byłam małą, czasami bawiłam się z dziewczynką, która miała jedną matkę i dwóch ojców. – Edgar zastanawiał się, czy naprawdę tak było. Wbił wzrok w twarz zamyślanej Leaf. – Miała na imię Margaret – dodała po chwili.

– Tak powinno być – orzekła Mildred. – Kiedy urodzą się dzieci, nikt nie będzie wiedział, który brat jest ojcem, a który wujkiem. I jeśli oni mają trochę oleju w głowach, nie będą się tym przejmować. Po prostu wychowają dzieci jak swoje.

– A ślub? – spytał Eadbald.

– Przysięgnięcie sobie w obecności kilku świadków, wśród których będą członkowie obu rodzin.

– Żaden ksiądz nie pobłogosławi takiego małżeństwa – zauważył Erman.

– Na szczęście – odparła matka. – Nie potrzebujemy księdza.

– A gdybyśmy potrzebowali, brat Drenga na pewno nam pomoże – mruknęła zjadliwie Leaf. – Degbert ma dwie kobiety.

– Żonę i konkubinę – rzucił Dreng.

– Chociaż nikt nie wie, która to która.

– Dobrze – ucięła dyskusję Mildred. – Cwenburg, chcesz powiedzieć coś ojcu?

– Chyba nie – wybąkała zdziwiona dziewczyna.

– A ja myślę, że chcesz.

Co tym razem? – pomyślał Edgar.

– Nie. – Cwenburg ściągnęła brwi.

– Nie krwawisz, odkąd zamieszkaliśmy w Dreng's Ferry, prawda?

Trzeci raz tego dnia Edgar był zaskoczony słowami matki.

– Skąd wiecie? – zwróciła się do Mildred dziewczyna.

– Wiem, bo twoje ciało się zmieniło. Przybrałaś na wadze, zaokrągliłaś się i masz większe piersi. Pewnie bolą cię sutki.

Cwenburg spojrzała na nią przerażonym wzrokiem i pobladła.

– Skąd to wszystko wiecie? Pewnie jesteście wiedźmą!

Leaf zrozumiała, do czego zmierza Mildred.

– Dobry Boże – jęknęła. – Powinnam była zauważyć.

Lecz odebrało ci ostrość widzenia, pomyślał Edgar.

– O czym wy mówicie?! – zawołała Cwenburg.

– Będziesz miała dziecko – odrzekła ze spokojem Mildred. –

Kiedy przestajesz krwawić, jesteś brzemienna.

– Tak?

Edgar zastanawiał się, jak mająca piętnaście wiosen dziewczyna może o tym nie wiedzieć.

– To znaczy, że ona już spodziewa się dziecka? – Dreng był wściekły.

– Tak – odparła Mildred. – Wiedziałam o tym, kiedy zobaczyłam ją nagą. A do tego nie wie, kto jest ojcem, Erman czy Eadbald.

Karczmarz posłał jej złowrogie spojrzenie.

– Mówicie, że nie jest lepsza od zwykłej rozpustnicy?

– Uspokój się, Dreng – odezwała się Leaf. – Sam chędożysz dwie kobiety. Czy to cię czyni rozpustnikiem?

– Ciebie od jakiegoś czasu nie chędożę.

– Za co każdego dnia dziękuję niebiosom.

– Ktoś musi pomóc Cwenburg wychować dziecko – powiedziała Mildred, patrząc na karczmarza. – Są tylko dwie możliwości. Może zostać tu z wami i to wy pomożecie jej wychować dziecko.

– Dziecko potrzebuje ojca. – Dreng nagle stał się nadzwyczaj miły. Edgar zauważył, że łagodniał, gdy w pobliżu była jego córka.

– Albo Erman i Eadbald poślubią dziewczynę i wspólnie zajmą się dzieckiem – ciągnęła Mildred. – Jeśli tak się stanie, Edgar zamieszka u was, a ty będziesz go żywił i płacił mu pół pensa dziennie.

– Nie podoba mi się ani jedno, ani drugie.

– Więc zaproponuj coś innego.

Dreng otworzył usta, lecz nie dobył się z nich żaden dźwięk.

– A ty, co myślisz, Cwenburg? – spytała Leaf. – Chcesz poślubić Ermana i Eadbalda?

– Tak – odparła dziewczyna. – Lubię ich obu.

– Więc ślub? – spytała Leaf.

– Jutro – odparła Mildred. – W południe.

– Gdzie? Tutaj?

– Przyjdzie cała wioska.

– Nie chcę dawać każdemu darmowego piwa – mruknął Dreng.

– A ja nie chcę tłumaczyć wszystkiego każdemu głupcowi w Dreng's Ferry – odcięła się Mildred.

– Ślub może być u nas – wtrącił Edgar. – Ludzie dowiedzą się o nim później.

– Dostarczę małą beczkę piwa.

Mildred spojrzała pytająco na Ethel, która od jakiegoś czasu się nie odzywała.

– A ja upiekę ciastka z miodem – zaproponowała Ethel.

– Cudownie – ucieszyła się Cwenburg. – Uwielbiam ciastka z miodem.

Edgar popatrzył na nią z niedowierzaniem. Właśnie zgodziła się poślubić dwóch mężczyzn i wciąż cieszyła się na myśl o ciastkach.

– Co ty na to, Dreng? – spytała Mildred.

– Zapłacę Edgarowi ćwierć pensa za dzień.

– Zgoda – odparła i wstała. – W takim razie oczekujemy was jutro w południe.

Jej trzech synowie również wstali i wszyscy czworo ruszyli do domu.

Nie jestem już farmerem, pomyślał Edgar.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).